

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Wianki na Wiśle w Warszawie.



## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

**XV** Noc, poprzedzająca dzień św. Jana Chrzciciela, t. j. 24 czerwca zachowała wśród ludu naszego, bodaj jeszcze z czasów pogańskich, pewien tajemniczy urok.

Wierzono podobno dawniej, że w noc tę zarówno złe, jak dobre duchy starają się wywrzeć wpływ swój na losy człowieka i rozkwita czarodziejski kwiat paproci, który obdarza szczęściem i wielkimi bogactwami tego, kto go zdobędzie.

Ale żeby osiąść ten cenny talizman, trzeba odwagi

nielada. Trzeba udać się do lasu i tam czekać północy, gdyż dopiero w tej godzinie roślina zakwita, wędnać potem niezwłocznie.

Tymczasem oczekującego straszą złe duchy, starając się go zmusić do ucieczki, lub choćby tylko do obejrzenia się poza siebie. A biada mu, jeśli to uczyni: bies porywa go żywcem do piekła, lub pozbawia rozumu.

Przedchrześcijańskich również czasów sięga zwyczaj, obchodzenia tejże nocy uroczystości, zwanej *Sobótką* lub *Ku-*

pałą, w której lud prawdopodobnie na uczczenie lata i słońca, gromadził się na polankach leśnych nad brzegami rzek lub strumieni, gdzie przy blasku rozpalonych ognisk, młodzieńcy i dziewczęta, przystrojone w kwiaty i opasane wiankami bylicy, wtórując śpiewem dźwiękom gęśli, zawodzili aż do wschodu słońca wesołe pąsy. A gdy młodzieńcy popisywali się swą zręcznością, skacząc przez wysokie płomienie, dziewczęta puszczały na bieżącą wodę uwite ze świeżych kwiatów wianeczki, które unoszone biegiem prądu, dawały im jakoby wróżby o przyszłych ich losach.

O powstaniu tych uroczystości, które wśród ludów słowiańskich dotychczas się zachowały, różne krążą podania. Jedne z nich utrzymują, że niegdyś piękna dziewczica Sobótką pokochała dzielnego rycerza Sieciecha. Już pobrać się mieli, już weselne zapłonęły ogniska, wkoło których poczęła pisać wesoła drużyna, gdy nagle ukazał się tłum najezdników. Spieszenie za broń pochwycając, godownicy pokonali nieprzyjaciela; w bitwie jednakże zginęła Sobótką i odtąd jej pamięci poświęconą jest zabawa, przypadająca właśnie w wigilię św. Jana.

Z tych lub innych powodów Sobótką była u wszystkich Słowian wielką uroczystością, owianą tajemniczym urokiem. Nie dziw więc, że stała się źródłem natchnienia dla wielu poetów; wśród nich pierwsze miejsce zajmuje Jan Kochanowski, który w pieśniach o Sobótce uroczystość tę malowniczo opisuje. Oto kilka strof początkowych:

Gdy słońce raka dogrzewa  
A słowik więcej nie śpiewa,  
Sobótkę, jako czas niesie,  
Zapalono w barwnym lesie.  
Tam goście, tam i domowi  
Sypali się ku ogniomu,  
Bąki zaraz troje grały  
A sady się sprzeciwiały.

I gdy poważni wiekiem siedli opodal kołem, zabawiając się baśniami o strachach i dziwach tej nocy, lub słuchając pieśni gęslarzy, dziewczęta tańcząc śpiewały, bo:

Wszystkie śpiewać nauczone,  
W tańcu także nie zganione,  
Więc kolejną zaczynały,  
A pierwszej tak począć dały:  
— Piękna nocy, życz pogody,  
Broń wiatrów i nagłej wody,  
Dziś przyszedł czas, że na dworze  
Mamy czekać rannej zorze;  
Tak to matki nam podały,  
Same także z drugich miały,  
Że na dzień świętego Jana  
Zawždy Sobótką palana.

Po śpiewie chóralnym, odzywają się znów pojedyncze głosy, sławiące piękność przyrody na wiosnę, lub wypowiadające osobiste uczucia śpiewaków. Więc też jedna z tanczniczek tak się obwinia:

To moja największa wada,  
Że tańcząc bardzo rada;  
Powiedzcież mi me sąsiady,  
Jest tu która bez tej wady?  
.....

W niespełna trzysta lat po Kochanowskim, gdy pod wpływem tak zwanego romantyzmu, literatura znów się zwróciła do podań i obyczajów ludowych, inny poeta Seweryn Goszczyński przedstawił również tę uroczystość, obierając za tło dla niej wspaniałe karpackie okolice i wplatając ją w dzieje huculów i górali. W poemacie p. t. „Sobótką” tak opisuje chwilę rozpalania ognisk:

„Radosna wrzawa i huczne oklaski  
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.  
Na bór daleko spadła ćmów zasłona;  
Młodzież góralska od płomieni pędząca  
Stoi już, w koła tańczące spleciona,  
Jak obraz z cieni urodzony wnętrza,  
Dziewice w kwiatkach, chłopcy z długim włosiem,  
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,  
Wszystko to naraz uderzyło głosem,  
I grzmotnym głosem do tańca Sobótki.  
.....  
Szerzej i jaśniej płaszczy ognia monarszy  
Przejrzyste poły wokoło rozkłada.  
W osobnym tłumie zebrali się starce —  
Głos ich poważny, roztropna biesiada,  
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.  
Z niemi matrony i dzieci zasiadły,  
I czujne kondle przy nich się układały.  
Dokoła stosu mniejsze ognie świecą,  
A każdy nową uciechę rozpala,  
A każdy głośnie opasany zgrają.  
Pół-widne kształty za kształtami lecą,  
To ćmą, to blaskiem, jak płynącą falą.  
Płaczą się koła, ogniska mrugają.  
Połyska w ogniu topór tanecznika  
I zręczny skoczek ogniem się przemyska.

Mijają lata za latami, wieki płyną jedne po drugich, a co rok w noc Świętojańską płoną ognie Sobótki, co rok rzucają świeży czar poezji, jaką ma w sobie ta zabawa o charakterze tak czysto swojskim.

Nawet w większych miastach, gdzie giną dawne obchody i zwyczaje, noc Świętojańska uroczystością zawsze bywa obchodzoną, a w uświetnieniu zabawy bierze udział nie tylko już lud, lecz i inne warstwy społeczeństwa.

Bo też wianki na Wiśle to prawdziwa uroczystość Warszawiaków. Z nastaniem zmroku, spieszą tłumy na most i brzegi tej wielkiej naszej rzeki, jedni, by zająć wygodne miejsca na trybunach i ławkach, inni, by choć w ścisłym kilkotysięcznym przysiądzieć się obchodowi, napawać się czarownym urokiem obrazu, jaki roztoczy się niebawem przed ich oczyma.

Nie są to już wprawdzie w ścisłym znaczeniu dawne Sobótki, opisane przez Kochanowskiego lub Goszczyńskiego, niemniej wszakże pomimo swego charakteru nowoczesnego, mają wdzięk nieporównany, jaki tylko dać może zabawa czysto swojska na pięknym tle szerokiej rzeki, oświetlonej mnóstwem światełek.

Ostatnimi czasy uroczystość wianków urządza w Warszawie Towarzystwo Wioślarskie, któremu dopomagają dzielnie inne towarzystwa sportowe: Cykliści, Żyźwiarze, oraz Towarzystwo śpiewacze „Lutnia.” Wśród dźwięków orkiestry i śpiewów chóralnych, przepływają ogromne kry-

py pięknie przystrojone, na których się mieszczą rozmaite malownicze grupy.

Po wodzie pływają wianki ogniste, a ognie sztuczne, bengalskie i światło elektryczne, umiejętnie rzucone, przenoszą widzów rzeczywiście w jakiś kraj czarodziejski. I zapomina się wówczas o tem wielkiem mieście, co huczy i turkocze poza nami, a widzi się tylko czarne nurty rzeki i błyszczące na niej obrazy i ognie.

## PORWANIE BALONU.

ZDARZENIE Z WOJNY KUBAŃSKIEJ.

(Dokończenie).

### IV.

W głębokiem milczeniu wyglądałem z łodzi w ciemną przestrzeń. Nagle głos kaprała przerwał ciszę. Zwróciłem się do niego.

— Co mówisz? — rzekłem.

Ruszył się ku mnie po plecionej podłodze łodzi, stąpając nieśmiało, jakby się bał załamać ją swoim ciężarem.

— Złe mi jest. Potrzebuję doktora — rzekł pośpiesznie. Jego twarz była strasznie zmieniona.

— Co ci jest? co czujesz? — zapytałem niespokojnie.

Kapral podniósł rękę do piersi.

— Nie mogę oddychać — wykrztusił. — W uszach słyszę szum, jak gdyby furkot młyna, panie oficerze.

Rozśmiałem się wesoło, by mu dodać otuchy.

— Fraszka — zawołałem — pojechaliśmy zbyt wysoko dla ciebie.

I popatrzałem w okół, szukając sznurka od klapy, wypuszczającej gaz.

— Lepiej się czujesz teraz? — zapytałem, gdyśmy zniżyli się o jakie pięćset stóp, według barometru wiszącego w łódce.

— Trochę lepiej — przyznał, patrząc na mnie z uszanowaniem — ale chętniebym stąd wyszedł.

Nieśmiało przewracał oczami, wyrażając to pragnienie. Widocznie kapral w powietrzu stracił energię.

Gdzieśmy byli i dokąd leciliśmy, nie mógłbym powiedzieć. Pod nami była jednostajna czarna chmura bez żadnego jaśniejszego punktu, któryby mi pozwolił odmierzyć posuwanie się balonu w kierunku poziomym. Spostrzeżenie to przeraziło mnie. Kuba jest wyspą. Hawana leży tuż przy morzu; może lecimy nad morzem. Bez jasnego poczucia na co mi się to przyda, zacząłem szukać busoli, ale choćby jaka była w łodzi, nie mógłbym jej znaleźć. Namacałem tylko ręką blok przywiązany zewnątrz łodzi i związającą się w dół linę.

— Kapralu rzekłem nagle, zwracając się ku niemu. — Czy znasz dobrze okolice Hawany?

— W promieniu kilkunastu mil — odpowiedział.

— W takim razie lepiej będzie spuścić się poniżej chmury — zauważyłem — i dosięgnąć ziemi przed brząskiem.

— Jak chcecie — rzekł kapral.

Moje postanowienie było niezłomne. Gdyby o brząsku kapral poznał, żeśmy stanęli poza linią wojsk hiszpańskich wśród Kubańczyków, sprawa byłaby skończona. Lecz jeśli spadniemy wśród Hiszpanów! Niech tam! odciąłbym drugi raz sznur, i usiłowałbym uciec, wyrzucając instrumenty i inne ciężary, któremi łódka była wypełniona. Nie! chyba utrata życia zmusiłaby mnie do oddania balonu.

Byłem człowiekiem zdecydowanym na wszystko i chciwym odznaczenia, a wiecie dla czego.

Otworzyłem klapy i zaczęliśmy się zniżać. Gwiazdy bladły. Spuszczaliśmy się w mrok chmury. Słabe światło, które nas dochodziło, znikало stopniowo, wkrótce nie mogliśmy już widzieć jeden drugiego. Uczucie stopniowego zapadania w przepaść, było straszne. Kapral przytulił się do mnie dla otuchy. Jego ciężki oddech sprawiał mi wrażenie duszenia się. Odsunąłem go od siebie.

— Nie mogę nic widzieć — rzekł, mrugając oczyma.

Jego słowa zaniepokoiły mnie znowu. Puściłem sznur, klapy zamknęły się nad naszymi głowami.

— Czekaj! zapominałem — rzekłem głośno. — Byłoby niebezpiecznie spuścić się na ląd przed brzaskiem. Nie moglibyśmy rozpoznać gruntu i uderzyli jeszcze o drzewo lub skałę, zresztą o ziemię samą moglibyśmy się rozbić.

— Ale kotwica, o której wspominałeś — mruknął kapral.

— Ba! — wykrzyknąłem niecierpliwie. — Nic nie wiadać! Jakże możemy rzucić kotwicę, nie wiedząc gdzie spadnie. Nie możemy się spuścić, póki brzask nie da nam pojęcia o naszej odległości od ziemi. Boże! — szepnąłem sam do siebie — uratuj nas.

Minęło kilka strasznych godzin, nim wschód się objawił słabem liliowem światłem. Wkrótce pas żółty zarysował się na horyzoncie i zimnym oświecał nas blaskiem. Coraz wyraźniej widzieliśmy rozciągającą się pod nami przestrzeń. Sądząc, że właściwa chwila nadeszła, otworzyłem znowu klapy.

Nasza jazda w dół szła bardzo szybko. Kształty przedmiotów zaznaczały się coraz wyraźniejsze. Niezadługo rozpoznałem wiosenną zielen lasu. Zbliżyliśmy się, a wtedy przytkając klapy, dozwoliłem balonowi lecieć w kierunku poziomym, szukając otwartej przestrzeni, gdziebyśmy mogli zarzucić kotwicę. Długi, jakiś wawoz pomiędzy zaroślami pociągnął mój wzrok. Zbliżał się do nas, a raczej my do niego. Pokręciłem blok i rzuciłem kotwicę. Poczuliśmy kilka szarpnięć i nagłe wstrząśnienie. Mgła zdawała się zwiększać.

Zwracając się do kaprała, rzekłem uradowany.

— Wszystko dobrze. Kotwica się zahaczyła, stoimy na miejscu.

### V.

Niska ławeczka okrążała wewnątrz łódki. Kapral i ja byliśmy niewypowiedzianie znużeni. Siedliśmy więc, oczekując dnia. Kapral chciał zbadać okolicę.

— Myślę, że to las Cuema — rzekł, wskazując na drzewa.

— Cuema? — powtórzyłem badawczo.

— Tak — odpowiedział — sądząc po wielkości. A ten wzgórek z wyniosłymi drzewami to San Sebastian. Na drugim stoku jego jest miasteczko z silną załogą hiszpańską.

Spojrzałem w stronę, którą wskazywał. Panorama jeszcze nie była wyraźna.

— Tak sądzisz — rzekłem powątpiewająco.

— Tak — powtórzył kapral — ale robi się coraz widniej, wnet się dowiem napewno. Jeżeli to San Sebastian, jesteśmy niedaleko od przyjaciół.

— Daj Boże! — rzekłem ziewając. — Jestem śmiertelnie znużony i — głodny. Oglądając się po łódce, zauważyłem koszyk.

— Zajrzyj do środka, kapralu — rzekłem, wskazując nań. — Wygląda tak, jakby w nim było co do jedzenia.

Obroż zaskrzypiała, gdy go podnosił.

— Bogu chwała, jest naprawdę — wykrzyknął wesoło, podając mi pieczoną kurę i czarny chleb. Potem wyciągnął drewnianą butelkę. — Oto wino!

Odkrycie to wróciło mi siły.

— Nie jesteś głodny? Pewno nie nie chcesz z tych przysmaków — żartowałem.

Kapral otworzył paszczę jak u wieloryba i błysnął białemi zębami. Rozśmialiśmy się. Miałem pełne usta i mówiłem niewyraźnie.

— Przepraszam, nie słyszę — rzekł kapral, trzymając kawał kury w lewej ręce, podczas gdy prawą usiłował odkręcić korek drewnianej butelki.

— To musi być gościniec jakiś, czy droga — powtórzyłem, wskazując na długi pas, w który spuściliśmy kotwicę.

— Kto tam wie — rzekł kapral obojętnie, zwracając całą uwagę na wino, płynące ślicznym, bursztynowym strumieniem. — Pijcie, panie oficerze — dodał, podając mi szklanekę rogową.

Spojrzałem na niego.

— Wasze zdrowie — rzekłem.

Ale wino nie dosięgło mych warg. Nagle głośny turkot doszedł uszu naszych z dołu. Nastąpiło gwałtowne wstrząśnienie.

Otoczeni gęstą białą chmurą upadliśmy na kolana na dno łódki. Groza naszego położenia wzrastała z każdą chwilą: łódka poczęła się przechylać na jedną stronę. Pociąłem, że jakaś siła niezwykła ją ciągnie.

Gdy krzyknąłem na kaprala, by się trzymał, jeśli mu życie miłe, biała chmura opuściła nas znowu nagle, jak przysła. A łódka pędziła przez powietrze, stopniowo podnosząc się z groźnego pochylenia. Domyśliłem się, co zaszło.

Nasza kotwica zaczęła się o podkłady kolei żelaznej. Pociąg nadjechał i uniósł nas przez tunel. Kotwica, albo kawałek jej liny wplotła się w bufor lokomotywy. Przybrałem z wysiłkiem taką pozycję, abym mógł widzieć pod nami. Lecieliśmy dość nisko nad lokomotywą pociągu pasażerskiego. Maszynista zawołał na mnie po hiszpańsku, patrząc w górę z przerażeniem.

Pytania i odpowiedzi szybko następowały pomiędzy nami.

Nagle wymierzyłem rewolwer.

— Pełną parą naprzód! — rozkazałem.

Starał się ukryć za węglami.

Przeszyłem kulą jego czapkę. Druga strzaskała bryłę węgla na odłamki, rozlatujące się w około.

Podniósł ręce, błagając o litość.

— Pełną parą naprzód! — rozkazałem — albo wystrzelę znowu.

Posłusznie wziął się do roboty.

Maszynista powiadomił mnie, że pociąg wiezie wojsko. To zaś nie wiedziało dotąd o naszej obecności w górze.

— Jeśli tylko dojedziemy do obozu w Wiktorii, jesteście ocaleni — rzekł kapral.

— Dojedziemy, rzekłem stanowczo, widząc wzrastający bieg pociągu, ze wzruszeniem jakiego nie doznam pewnie raz drugi.

Wspaniałe światło słoneczne padało na zielen lasu, gdy pociąg zbliżał się do zakrętu. Hałas wśród żołnierzy zamkniętych w wagonach, ostrzegł nas, iż są zaniepokojeni szaloną prędkością podróży. Domyśliłem się, że wychylają

się przez okna, chcąc dowiedzieć się przyczyny tego pośpiechu.

— Jeszcze dziesięć minut tej szybkości, a ominie hiszpańskie posterunki i będziemy wśród swoich — rzekł kapral.

Nie odpowiedziałem. Obawiałem się zakrętu, ku któremu pociąg biegł jak strzała.

Stało się, co przewidywałem. Gdy lokomotywa skręciła na bok, nasz balon stracił chwilowo swoje położenie prostopadłe nad wagonami, tak, że żołnierze nas ujrzeni.

— Pokaż im karabin powiedziałem spieszenie do kaprala.

Ale było za późno. Żołnierze musieli się domyśleć kogo ciągną: drzwiczki się otworzyły. Ujrzałem głowę i ramiona człowieka, gotującego się do wystrzału.

Zaledwie był czas postać mu kulę.

Pociąg przebył zakręt i znowu szybowaliśmy ponad ich głowami, zatem niewidzialni.

Kapral cieszył się.

Droga znów była prosta, pędziliśmy szalenie.

— Strzelaj — rzekłem do kaprala — żołnierze wchodzi na dach drugiego wagonu.

Podczas gdy przykładł karabin do ramienia, sam wypaliłem z rewolweru do tych, którzy z dzikimi okrzykami usiłowali dostać się na dach, aby strzelać ku nam.

Żołnierze cofnęli się do wnętrza wagonów. Nagle kapral zawołał:

— Oto Wiktoria! patrz! to kościół.

— Gdzie? — rzekłem, zwracając się ku niemu.

Nie miał czasu odpowiedzieć mi.

Nastąpił wybuch. Chmura kul przeleciała przez drewniane dachy wagonów. Jedna przeszła mi ramię. Kapral

zajął się obandażowaniem rany.

Drugi wybuch. Nowa chmura groźna poleciała w górę. Tym razem jedwabne poszycie balonu zostało przeździurawione. Gaz uchodził.

Odrąciłem kaprala.

— Więcej pary! — krzyknąłem do maszynisty.

— Boję się — odpowiedział.

— Więcej pary! — powtórzyłem gwałtownie, a kapral skierował lufę na dół.

Maszynista usłuchał.

Przeczuwaliśmy, że znowu będą strzelali. Nasze oczy śledziły niespokojnie potrząskane dachy wagonów. Błękitny dym wznosił się nad dwoma pierwszymi. Wychyliłem się z łódki, aby się upewnić.

— Na Boga! — wykrzyknąłem — te wagony zapaliły się od wystrzałów!

Nie strzelano już do nas. Jasne było, że żołnierze usiłowali zagasić płomienie nad swymi głowami.

Ale balon obniżał się stopniowo.

Czy osiągniemy linii białych namiotów widocznej przed nami, lub też spadniemy między pędzące wagony jak wielki raniony ptak? to było pytanie.

Coraz niżej, niżej spadaliśmy w gwałtownych kołysaniach. Wielki dym zakrył mi oczy, pierś moja coraz ciężiej opierała się o ścianę łódki.



Wąż polykający jajka ptasie (str. 200).

Do pow. „Porwanie balonu.”



„Pełną parą naprzód!” — rozkazałem.

49  
94  
1143

Przypominam sobie, iż usłyszałem nawoływanie kaprała do maszynisty.

Lecz w tedy też uczułem, że zapadam coraz niżej, coraz głębiej w ciemności.

Gdy wróciłem do przytomności, leżałem w szpitalu obozu Kubańczyków.

— Pić mi się chce — rzekłem.

Kaprał podał mi wody i objaśnił, że w chwili kiedy zemdlałem, on obciął linę. Palący się pociąg pomknął dalej, a my spadliśmy blisko obozu Kubańczyków.

Uśmiechnąłem się z radości, teraz już byłem pewny, że gdy wrócę na swój okręt, dłonie wszystkich kolegów wyciągną się ku mnie serdecznie. Tak się też stało.

## Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

### Ogień

na usługach człowieka.

#### I.

Każdy doskonale zdaje sobie sprawę z pożyteczności ognia, z klęsk, jakie spadłyby na ludzkość, gdyby go nagle zbrakło, ale mało kto pojmuje, jak niesłychanie doniosłą rolę odegrał ten ruchliwy żywioł w dziejach człowieka na ziemi.

Śmiało rzec można, że gdyby

nie ogień, do dziś dnia bylibyśmy godnymi pożałowania, wiodącymi nędzny żywot barbarzyńców, on to bowiem pomógł nam odbyć długą, pełną trudów i przeszkód drogę, prowadzącą z nizin prostactwa i niewiedomości na wyżyny doskonałości i dobrobytu.

Chcę cofnąć się z wami, kochani czytelnicy, w grubą pomrokę odległych epok, gdzie stoi kolebka rodzaju ludzkiego i pokazać ową drogę, jaką kroczyliśmy przed dziesiątkami tysięcy lat, zanim staliśmy się tem, czem jesteśmy obecnie. Spodziewam się, że spoglądając na nią, odniesiecie niejedną korzyść, nauczycie się szerzej pojmować wiele rzeczy, a co najgłówniejsza, uwierzycie, że przeznaczeniem rodzaju ludzkiego jest doskonalić się, dążyć ciągle ku lepszej, piękniejszej przyszłości.

Jakkolwiek może się to wydać wam nieprawdopodobnem, to jednak nie ulega żadnej wątpliwości, że w pierwszych początkach swego istnienia na ziemi, człowiek nie znał ognia, i był zupełnie pozbawiony korzyści, wypływających z jego posiadania. Słaby, pozbawiony od natury szponów i tęgich zębów, bywał ciągle narażony na wielkie niebezpieczeństwa; chcąc utrzymać się przy życiu, musiał chronić się od swych czworonożnych wrogów na drzewa, żywił się zaś przeważnie owocami, jagodami, korzonkami i miodem leśnym. Jeśli udało mu się schwytać ptaszka, rybę czy inne zwierzę, to musiał pożerać je na surowo; cierpiał od zimna i słoty, słowem, był godną pożałowania istotą.

Jeżeli zdołał przetrwać te ciężkie czasy i oprzeć się dzikim zwierzętom z jednej, a wrogiej przyrodzie z drugiej strony, zawdzięcza to jedynie owej iskierce rozumu, jaką złożył Stwórca w jego duszy.

Że pierwotny człowiek stał znacznie niżej od dzisiejszych dzikich plemion, żyjących w pustyniach Australii, lub nietkniętych siekierą puszczech Afryki i Ameryki, świadczy o tem choćby ta okoliczność, że niema pomiędzy nimi ani jednego, któryby nie znał użytku ognia i nie umiał rozniecać go w razie potrzeby. Jakim sposobem człowiek znalazł się w posiadaniu ognia, kiedy podbił ten krnąbrny i niszczący żywioł i obrócił go na swojego sługę, tego na-próżno staralibyśmy się do badać.

Zywioł ten spotykamy w dwóch postaciach: jako ogień elektryczny, to jest pioruny i błyskawice, ukazujące się podczas burzy, i jako ogień podziemny.

Zdarzyć się mogło, że drzewo w puszczy, uderzone gromem, zapaliło się, i że człowiek pierwotny, pokonawszy



Niebezpieczna przeprawa (str. 200.)

trwogę, jaką budzi w każdym stworzeniu tajemniczy ten i niszczący żywioł, znalazł sposobność zapoznać się z jego własnościami; może też przysługę tę oddała mu lawa rozpalona, wylewająca się z wulkanicznej góry i długo potem niestygająca. W niektórych okolicach ziemi np. na wyspach Hawajskich, położonych wpośród oceanu Spokojnego, w Europie u stóp Wezuwiusza, wulkanu we Włoszech, lawa jest zjawiskiem częstym; wulkanów zaś nie brakowało i w dawnych czasach.

Raz zdobywszy skądciś ogień i poznawszy rozliczne pożytki jego, człowiek, rzecz naturalna, nigdy się już z nim nie rozstawał.

Ognisko, palące się u wnijscia do zamieszkaney jaskini, odstraszało dzikie zwierzęta i to była korzyść bardzo ważna; potem, światło jego pozwalało naszym przodkom czuć i pracować po zachodzie słońca, nad przygotowaniem broni, wędek, sieci i innych niezbędnych przedmiotów; dzień zaś poświęcać w całości na łowy. Pamiętamy także, że pomiędzy owocami, ziarnami i korzonkami znajduje się wiele takich, które stają się zdatnymi na pokarm dopiero po upieczeniu; że nawet mięso pieczone jest strawniejszem i smaczniejszem od surowego.

Nic więc dziwnego, że człowiek pierwotny chronił starannie od zagaśnięcia nieoceniony żywioł, a będąc zmuszonym przenosić się z jednego miejsca na drugi, zabierał ze sobą tlejącą głównię lub żarzewie. Pieczołowitość ta wyda nam się zrozumiałą, jeżeli zważymy, że przez długie wieki człowiek nie potrafił rozniecać ognia, chociaż już korzystał z jego usług; a potem, kiedy się już nauczył tej sztuki, wymagała ona wielkiej zręczności i wytrwałości.

Przed zawładnięciem tym drogocennym żywiołem, kobiety i dzieci, w obawie napaści dzikich bestyi, towarzyszyły ciągle mężczyznom, swym obrońcom; później jednak kobiecie powierzono pilnowanie ognia i ten fakt pociągnął za sobą ważne następstwa.

Przedtem nie istniało wcale to, co nazywamy dziś *domem*, w znaczeniu stałej siedziby; potem zaś ognisko, strzeżone i podtrzymywane ręką kobiety, stało się punktem zbornym, miejscem przytułku i wypoczynku dla mężczyzny powracającego z wyprawy myśliwskiej. On oddawał przyniesioną zwierzynę żonie, która odzierała ją ze skóry i przygotowywała dla całej rodziny ucztę. Panując niepodzielnie w jaskini u ogniska, kobieta skracala długie godziny oczekiwania na męża rozmaitemi robotami; wyprawiała skóry, oczyszczając je kamienną skrobanką, sporządzała z nich opończe przy pomocy grubej igły z ości rybiej i ścięgu zwierzęcych, zbierała w pobliżu lasu owoce, jagody, jaja ptasie, przyczyniając się w ten sposób do polepszenia bytu rodziny. Mężczyzna, po powrocie z utrudzających i niebezpiecznych łowów, znajdował w domu wygodny mech do spania, świeżą opończę, przyprawę do mięsa, którego dostarczał w stanie surowym. W zamian za usługi doznawane od kobiety, ofiarowywał jej część swej zdobyczy,

Widzimy więc, że ogień wywołał pierwszy podział zajęć pomiędzy mężczyzną a kobietą i posłużył za podwalinę do zbudowania gniazda rodzinnego. Mężczyzna, wziął na siebie wyłącznie dostarczanie zwierzyny, obronę od napaści dzikich bestyi i wrogich sąsiadów, oraz wyrób broni, kobieta zaś obarczyła się pielegnowaniem jaskini, czy szałasów i palącego się w nim ognia, przyrządzaniem jadła, odzieży, sprzętów domowych i opieką nad małymi dziećmi.

Rzecz godna uwagi, że ten podział pracy przetrwał setki wieków i utrzymał się aż do naszej epoki.

Niewiasta wszędzie, tak dobrze w Afryce, w Ameryce i Azji, jak u nas, pracuje w domu lub w jego najbliższem sąsiedztwie, zajmując się gospodarstwem, mężczyzna zaś poza domem.

Z biegiem czasu lekceważona zrazu praca kobieca nabiera znaczenia; mężczyzna bowiem, chcąc mieć pewną dłoń do rzucania pocisków i silne mięśnie, myśli tylko o wojnie i łowach, spychając resztę na barki swej towarzyszki, która upada pod brzemieniem włożonych na nią obowiązków i powoli zamienia się w rodzaj niewolnicy czy poddanki. Mo-

ralny jej wpływ na mężczyznę wzrasta jednak w miarę tego, jak owoce jej pracy stają się poważniejszymi i niezbędnymi.

Oto do jakich doniosłych zmian przyczynił się w części ogień.

Stawszy się raz „kapłanką domowego ogniska,” kobieta pozostała na swoim stanowisku i wtedy, kiedy już wynaleziono sposób niecenia ognia i uzyskano swobodę częstego przenoszenia się z miejsca na miejsce i prowadzenia życia koczowniczego.

Nie sądźcie, aby wynalazek ten został dokonany łatwo i prędko. Przeciwnie, upłynął długi szereg wieków, zanim człowiek pierwotny posiadał tę sztukę.

W jaki sposób nasi prapradziadowie po raz pierwszy wydobyli ogień, jest to taką samą tajemnicą dla nas, jak pytanie, skąd go wzięli przedtem.

Rozwiązać tę zagadkę możnaby tylko przez porównanie podań rozmaitych ludów, mówiących o pochodzeniu ognia. I tutaj jednak natrafiamy na trudności, albowiem w tych gadkach, czyli mytach, panuje niezgodność bardzo wielka.

Oto kilka takich podań:

Wszystkie dzikie narody wierzą mocno w to, że ogień pochodzi z nieba i że został zesłany na ziemię, albo też ukradziony bogom. Wiara ta ma zapewne źródło w tem, że na niebie znajdują się gwiazdy, słońce, księżyc, i że stamtąd spadają podczas burzy pioruny.

Tak na przykład podług podania starożytnych Greków, pewien bożek nazwiskiem Hefestos, zamieniony w ogień, został strącony na ziemię przez gromowładnego Zeusa; bożek indyjski Agni, co znaczy ogień, obdarzony przydomkiem „chmurojeźdźca,” albo „ognistego ptaka,” również z nieba przywędrował na ziemię.

Inne narody są przekonania, że to ptak przyniósł ludziom ogień z obłoków. Rzymianie mieli gadkę, która w następujący sposób objaśnia pochodzenie tego dobroczynnego żywiołu: Numa Pompiliusz, jeden z ich królów, za poradą Kameny \*) Egeryi, upoił winem czarnego dziecięcia i wyludził od niego tajemnicę sprowadzenia ognia z chmur na ziemię. Ptakiem tym był dla tego zapewne dziecię, że ma on na głowie ognistą łatę.

Władysław Umiński.

(d. c. n.)

## Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem podskarbi wcisnął się w tłum, każąc wozom powoli wjeżdżać za sobą.

— A cóż to tam, ktoś z królewiat się wlecze czy co! — poczynaly odzywać się głosy, wśród leżącej obozem szlachty.

— Hej, hej; a z której partyi! — wrzeszczano.

— Ze szlacheckiej — odkrzyknął w imieniu swego pana Stępa.

— O dawajcie go! — wołano z jednej strony.

— Precz z nim! — odpowiedziano zaraz z drugiej.

Nie zważano jednak na ten okrzyk przeciwników, jeno

\*) Kamenami zwały się w mitologii rzymskiej boginie, które miały pod Rzymem gaj sobie poświęcony.

zaczęto się jakoś ścieśniać, dla zrobienia miejsca wrzekomu sojusznikowi.

Niewdźdzy oczy wytrzeszczył i coraz pilniej począł nasłuchiwać.

— Ze szlacheckiej, a można — rzucił podskarbi najbliższemu stojącemu z miną nader zaderwistą szlachecowi.

— Któż to zacz? — zapytał tenże.

— Starosta szreński! — odrzekł Stępka takim głosem, jak gdyby oznajmił, co najmniej, przybycie nowego kandydata do tronu.

— Ba, starostów ci u nas jak gwiazd na niebie — rzucił szlacheic, przypatrując się jednak ciekawie licznym wozom koniom i całemu dworowi.

— Albo jak żab skrzeczających w błocie! — dodał barczysty młodzieniec, stojący za plecami swego rodzica.

— Nie zaczepiaj, Filipku, jeżeli nie wiesz, kto zacz! — zgromił go tenże.

— A jakież miano?

— Pan Fortunat Próžnołęcki — rzekł, podnosząc głowę Stępka.

— Próžnołęcki, Próžnołęcki... — powtarzał szlacheic — nie słyszałem..., a jakiegoż herbu?

— Rogala! — rzucił Stępka.

— A toć chyba krewniak! — zawołał szlacheic przedjednany od razu. — Tociem i ja tego herbu.

I zaraz krzyknął:

— Hej, bracia! miejsce dla mego krewniaka, starosty szreńskiego.

— Miejsce dla naszego krewniaka! — powtórzył Filip.

Stępka uśmiechnął się z zadowoleniem, że mu się tak świetnie udało.

Co prawda, skomponował on naprędce herb, bo uszu jego doleciało, że ktoś na rozmawiającego szlacheica zawołał: „Rogala,” chciał więc od razu znaleźć sprzymierzeńca.

Że zaś pan Fortunat Próžnołęcki, nie bardzo się mógł ni koligacyą, ni herbem poszczycić, a dostojęstwa swego tylko prawem kaduka używał, Stępka uważał za stosowne podszycić go pod taki herb, któryby ich na razie z kłopotu wybawił.

Nie omieszkął jednak szepnąć swemu chlebobdawcy:

— Jasnie wielmożny starosta pieczętuje się herbem „Rogala.”

— Co, co, niedawno przecie mówiłeś, że Dobrogost? — rzekł zdziwiony Próžnołęcki. Był to bowiem herb Szreńskich, który sobie wraz z majątkiem ojciec jego przywłaszczył.

— Rogala Dobrogost — rzekł Stępka — tak nam trzeba.

I podszedł ku Rogali, który między szlachtą robił miejsce dla wrzekomu swego krewniaka.

— Rogala Dobrogost, żeby jeno nie zapomnieć — powtarzał sobie pan Fortunat.

Jakoż wkrótce znalazło się tyle miejsca, że ustawiono namiot, rozpakowano wozy. Beczka starego miodu, która pamiętała odległe czasy rodziny Szreńskich na Szreńsku, a którą przywieziono z sobą, zjednała niebawem panu Fortunatowi nowych przyjaciół.

Próžnołęcki puszył się wśród nich i do każdego przepijał, Stępka również nie próżnował, a Niewdźdzy, korzystając, że pan zabawia się bez jego pomocy, rozglądał się po obszernem polu zasłanem ludźmi, jak falującym bujnie zbożem. Wśród tej fali migotały ogniska niby błędne światła, ukazujące się niekiedy na uroczyskach i moczarach.

— Za kim trzymasz? — szarpnąwszy go za rękaw, zapytał znany nam już Filip.

Niewdźdzy spojrzał nań, nie rozumiejąc dobrze pytania. — Cożes to bracie niemowa, że nie odpowiadasz? — zapytał znów Filip.

— Co zaś, gadać potrafię, jeno nie wiem, o co mnie pytasz — odparł Niewdźdzy, przypatrując się nowemu znajomemu.

— Jak to przybyłeś na obiór króla, a nie wiesz za kim krzyzcze?

— Ba, toć mnie do rady nie wołają, ani też choćbym najgłośniej krzyczał nie posłuchają — mówił Janek powoli, zastanawiając się nad pytaniem Filipa.

— To co, że nie posłuchają, zawsze szlacheicom krzyzcze wypada — tłumaczył młody Rogala.

— A możesz ty nie szlacheic — nagle zapytał

— Co? — krzyknął z oburzeniem chłopak. — Niewdźdzyowie ongi całą Niewdźdzydową Wolę posiadali. Jam Jan Niewdźdzy, szlacheic z pradziada, pono z Niewdźdźdów ostatni — dodał z podniesioną głową.

A wskazując na piersi, dodał:

— Mam papiery z jakiego pochodzę rodu, a Bóg da jeszcze i własną usługą dowiodę, że nie żaden chłystek, jeno szlacheic wart nosić nazwisko moich pradziadów.

— No, toś tembardziej krzyzcze powinien przy obiorze króla — odrzekł Filip. — Ja będę się darł, ile sił starczy! — dodał.

— Ba, toć i ja gardła nie poskapię, jeno niech wiem za kim — rzekł Niewdźdzy.

— A za kim trzyma twój starosta?

— Starosta...? nie wiem zgoła!

— Jakto, nie rzekł wam nie?

— A nie. — Ja bo niedawno przystałem do jego dworu — dodał, osłaniając swego chlebobdawcę.

— No toć chyba nie za Niemcem? — spytał Filip.

— A niechże nas Wszechmocny broni od takiego plugastwa! — zawołał ze wstrętem Niewdźdzy.

— To może za Francuzem?

— A nam co po nim! Czy to my nie mamy jakiego swojaka.

— Juści, że jest — tłumaczył Filip.

— Eh, to czemuż go nie obwołają? — spytał Jasiak.

— Ba, w tem rzecz, żeby go obwołano! aleś ty widzę nowicuzs! — rzekł z pewną wyższością młody Rogala.

— Com jeno przyjechał, nie mogę przecie wszystkiego wiedzieć, jako ci co oddawna tu siedzą.

— Juści, bo i prawda! Słuchajże pilnie to ci powiem — mówił Filip, zabierając głos dla pouczenia nieświadomego rzeczy przybysza.

I ciągnął dalej:

— Cesarz niemiecki, to nam gwałtem chce wtrącić jakiegoś swego krewniaka, bodaj mu Karol imię, a prymas Prażmowski, co to zwykle rządzi, gdy króla niema, i hetman Jan Sobieski chcą koniecznie Francuza, co mu Kondesz imię.

— Bój się Boga, Sobieski, ten co pobił Tatarów pod Podhajcami; chce nam dać Francuza! — przerwał oburzony Niewdźdzy.

— Kiedyć mówię, to znać, że tak jest! — odparł stanowczo Filip, siadając na leżących opodal drągach.

— No, no! — dziwił się Jasiak, kręcąc głową i siadając obok swego mentora.

— Dziwisz się, aleć jeszcze i więcej dziwić się będziesz; boć żaden szlacheic nie chce tego Francuza; obstawia przy nim jeno panowie, co ich królewietami zowią, za to, że się tak dają, jakby monarchami byli.

— No, niechby tam inni, ale Sobieski, toć mi i ksiądz i matusia mówili, że to wielki wojownik... — mówił zafrasowany wielce Jasiak.

Nazwisko bowiem Sobieskiego od pół roku przeszło utkwilo w głowie Niewdźdy, a zwycięstwo hetmana pod Podhajcami rozpierało pierś jego żądzą dostania się pod rozkazy dzielnego wojownika. Teraz, dowiedziawszy się, że Sobieski trzyma za Francuzem, w głowie mu się pomieścić to nie mogło.

Powtarzał więc jakby do siebie:

— Taki wojownik, taki wojownik!

Tymczasem Filip, nie zważając na jego zadumę, zaraz odpowiedział:

## NASZE KONKURSA.

— Wojownik, to wojownik, nie ma co mówić, ale trzyma za Francuzem. Ba, ale szlachta nie da się w kaszy zjeść. Jest ci przecie Jędrzej Olszowski, co szlachcie całej przewodniczy, i nie pozwoli na cudzoziemca...

— A ten także chodził na wojnę? — przerwał Niewdzyd.

(d. c. n.)

## NASZE RYCINY.

**Niebezpieczna przeprawa.** Rycina ta przenosi nas w odległe czasy, o jakich lat 50 wstecz. Zamiast pociągów kolei żelaznej kursowały po gościńcach dyliżanse, a przez rzeki, w braku mostów, których jeszcze z żelaza nie umiano budować, — trzeba było przeprować się na promach, ku wielkiej nieraz obawie podróżnych, zwłaszcza pań. Bywały bowiem niejednokrotnie wypadki z promami, które albo prąd unosił i rozbijał o brzegi, albo też konie u powozów płoszyły się i ściągały je do wody, słowem były ważne powody do strachu. Nie należy więc zbyt żałować, że ten pierwotny, bo znany już Greków i Rzymianów, sposób przeprowania się przez rzeki, coraz bardziej zanika i ustępuje miejsca mocnym i bezpiecznym mostom.

Ale nie myślcie, aby promy skazane były na zupełną zagładę. W wielu miastach portowych angielskich i amerykańskich, położonych przy ujściu rzek (Liverpool, Glasgow, New-York i t. d.), gdzie trzeba stawiać bardzo wysokie mosty, aby nie zagradzać drogi okrętom, istnieją promy do przewożenia pieszych i powozów. Ale inne to już mosty, niż dawniejsze — obszerne, budowane z żelaza i poruszane parą. Niektóre z nich są tak urządzone, że mają relsy i zabierają cały pociąg, który potem niezwłocznie na drugi brzeg wyjeżdża.

**Wąż połykający jajka ptasie** Nietylko my lubimy jajka, jako smaczną i pożywną potrawę; okazuje się, że są węże, które dzielają nasz gust i raczą się jajami ptasiemi, nie zadając sobie wcale trudu, aby stłuc skorupkę; czynią to nawet kosztem pewnych wysiłków przy połykaniu, jak widzimy na rycinie. Węże te żyją w Indyach Wschodnich i nazywają się *Elachistodonty*, gdyż mają zęby zakrzywione w ten sposób, iż działają dopiero po zupełnym zamknięciu szczęk. Wówczas połknięte w całości jajko pęka, a jego zawartość zostaje pochłonięta przez węża, który następnie odrzuca same skorupki. Węże, żywiące się jajkami nie są zbyt wielkie i przypominają nieco nasze żmije.

Korzystając z rozpoczynającego się lata, kiedy każdy ma daleko więcej swobodnego czasu, ogłaszamy do rocznym zwyczajem dwa konkursy.

**1. Konkurs na wypracowanie** dla wszystkich czytelników i czytelniczek „Wieczorów Rodzinnych” do lat 15-tu włącznie.

Chcąc pozostawić większą swobodę piszącym, wybrałszy tym razem przedmiot następujący:

Niech każdy ze współubiegających się opíše dzień lub zdarzenie ze swego życia, które uważa za najprzyjemniejsze lub najbardziej godne pamięci.

Opisy podzielone zostaną na grupy według wieku piszących i za najlepiej skreślone w każdej grupie przyznane zostaną po dwie nagrody w książkach.

Termin nadsyłania wypracowań oznaczony na 15-go Sierpnia r. b.

**2. Konkurs na roboty ręczne dla pańienek.** Jak zwykle, w konkursie tym nie idzie nam o jakieś wyszukane prace, lecz o najprostsze i najzwyczajniejsze, które nie powinny być obce żadnej kobiecie. Ze względu zaś, że przysłane roboty będą oddane biednym dzieciom, a więc mają być zastosowane do ich potrzeb, ogłaszamy konkurs na trzy rodzaje robót:

a) Bielizna dziecinna.

b) Sukienki i ubranka.

c) Roboty włóczkowe, (kaftaniki, spódniczki i t. p.)

Za najlepsze roboty z każdego działu, oprócz odnaczeń Redakcyi udzieli po pięć nagród w książkach.

Zalecamy, aby materiały były jak najprostsze i najtańsze, a cała robota wykonana starannie i własnoręcznie. Pomoc starszych może być użytą tylko przy skrojeniu, o czem wspomnieć należy.

Termin tego konkursu oznaczamy na 1-go Października roku bieżącego.

Zarówno przy wypracowaniach, jak i przy robotach trzeba podać pseudonym, imię i nazwisko, wiek oraz adres.

Adresować: Redakcyja „Wieczorów Rodzinnych”

MAZOWIECKA N. 10.



**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TRESC:** Noc świętojańska (z ryc.) — Porwanie balonu (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Wł. Umińskiego. — Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Nasze ryciny: Niebezpieczna przeprawa. Wąż połykający jajka ptasie. — Nasze konkursy. — **Dodatek:** Majowy poranek (z ryc.) — Deszcz przez Zofię Kwiatkowską. — Nieuczynna Emilka, wiersz p. H. B. Skrzydła odwagi (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marréné.

# WIECZORY RODZINNE

## MAJOWY PORANEK.

### III.

**D**la niezgodnych dzieci taki wypadek z wiaderkiem byłby pewno początkiem jakiej sławnej kłótni, którą na zawstydzenie aż w „Wieczorach” wypadłoby opisać. Dla jakiegoś, powtarzam, niezgodnego rodzeństwa.

Ale Dorka i Lolo! o, to złote dzieci, przypatrzcie-no się dobrze.

Przytomna siostrzyczka wyjęła w tej chwili białą chusteczkę z kieszonki, zmaczała ją w wodzie, co na dnie wiaderka została i obwiązała nią główkę brata.



— Wiesz co — mówi nagle — jakbym kiedy poszedł na wojnę, to ja naprawdę mogę rozbić głowę.

— Co ty mówisz — woła, blednąc Dorka?

— No, naturalnie, Walenty mówi, że gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą. Gdzie się ludzie biją, tam ręce i nogi i głowy nawet odlatują. A pamiętasz tę posiekaną kulkę, co to ja babcia z biurka wyjmowała? Aha! to z dziadziowego ramienia. Więc widzisz, jak pójde na wojnę...

— To ja zostanę szarytką — przerywa Dorka stanowczo — pójde wszędzie za tobą, a gdyby cię zła kula skaleczyła, ja cię zaraz wyleczę, zaraz...

— Eh... ty myślisz — przerywa znów Lolo — że to zawsze wyleczyć można? Walenty, to mię takiej piosenki nauczył:

Na wojence jak to ładnie,  
Kiedy ułan z konia spadnie:  
Koledzy go nie żałują,  
Jeszcze końmi potratają.

— Nie, nie, nie! — woła Dorka — ty nie spadniesz, ciebie nie potratają. Jeżeli pójdziesz, to wrócisz taki zdrow, jak dziadzio wrócił..

Więc Lolo przez wielką miłość dla siostry, zgadza się powrócić zdrowo i wesoło.

— Ej, droga nianiu, czy ci się tam czasem nie śni, co się tu z dziećmi stało?

Nie, bo gdyby niania przez sen nawet przeczuć to mogła, zerwałaby się w tej chwili i co tchu do „swoich robaczków” przybiegła. A ona tymczasem śpi tak smacznie, że ani słyszy nawet, ani czuje, co urwis Jędrak z nią wyrabia.

Urwał cztery ogromne liście łopianu, i jeden położył jej niby kapelusz na głowie, drugi, wsunął w rękę jak wachlarz, a dwa ułożył na ramionach, niby skrzydła.

Niania śpi w najlepsze i chrapie jak na pierzynie, a Jędrak sprowadził dwie dziewczyny z czeladnej izby i pokazuje im „zielonego ptaka.”

A. Z.

## DESZCZ.

**N**ach Boże! znowu deszcz pada — mówił ośmioletni Janek, podparłszy głowę na rękę. — To jest okropne, żeby ciągle i ciągle deszcz padał. Nie mogę iść na spacer. I co ja będę robił? Lekcyę już umiem, zabawki mię znudziły, a zresztą wszystkie połamane, czytać nie

mam co. Ciocia obiecała mi przynieść bardzo ładną i ciekawą książkę, ale czy to kto może wyjść na taką ulewę.

Tak biadał Janek, siedząc przy oknie.

Wtem zbliżyła się do niego starsza, dorastająca siostra Wańdzia.

— Nie wyrzekaj tak na deszcz, Janeczku. Jest on czasem bardzo potrzebny. Ale ciekawam, czy wiesz też skąd się deszcz bierze?

— No... z... ah! zapomniałem. Panna Zofia mówiła mi to raz i wiedziałem, napewno wiedziałem.

— Ale teraz już nie wiesz. Więc ponieważ ci się nudzi, możebyś posłuchał prawdziwej historyjki?

— O, dobrze! Opowiedz, opowiedz moja Wańdziu! Ja tak lubię historyjki.

— Otóż opowiem ci historyjkę kropli wody. Posłuchaj. Pewnego razu był duży deszcz, ot, taki, jak dziś. Dużo, dużo kropel spadło z góry. Między nimi wiele wsiąkło w miękką ziemię. Jedna z takich kropel, dostawszy się pod ziemię, wędrowała sobie tam czas jakiś.

— Sama?

— Z początku sama, ale potem połączyła się z innymi kroplami wody i wszystkie znalazły sobie trochę miejsca w ziemi i płynęły. Płynęły długo. Po drodze napotykały jeszcze inne kropelki i łączyły się razem.

— O! to już się zebrało duże towarzystwo kropel! — zawołał, śmiejąc się Janek.

— Tak właśnie było ich wiele. Ale nudziło im się pod ziemią. Chciały wydostać się na piękny świat. I pewnego dnia, znalazły szczelinę w ziemi i wydostały się przez nią na powierzchnię. Pomiędzy temi kroplami była i nasza kropelka deszczowa. Wytrysła ona wraz z innymi, jako małe źródółko i wąskim strumykiem popłynęła z góry, zabierając po drodze mniejsze strumyki; nasza kropelka była częścią tego strumyka.

— No i cóż dalej, Wańdziu.

— Nadszedł dzień upalny. Mnóstwo kropelek zaczęło wysychać. Co to znaczy wysychać? Czyby one zniknęły, zginęły zupełnie. Nie. One zamieniły się w parę wodną. Ty Janeczku wiesz, co to jest para wodna?

— O wiem! Para, wylatuje z gotującego się samowara, garnka z wodą...

— Tak, właśnie to para. I nasza kropelka zmieniła się w taką parę. Uleciała w górę wysoko. Tam znowu połączyła się z innymi częściami pary i utworzyła... Pewno nie zgadniesz co?...

— Nie... nie wiem.

— Utworzyła biały, mały obłoczek.

— Ach, jak ja lubię te małe obłoczki na niebie! Czasem wyglądają one jak białe baranki — zawołał Janek.

— Tak. Ale jak się takich obłoczków zebrało dużo, dużo, to utworzyła się jedna wielka chmura. Powiał wiatr zimny i znowu nasza kropelka spadła na ziemię w postaci deszczu.

— I może znowu wędrowała pod ziemią, i znowu poszła do góry.

— A tak. Ona sobie bezustannie odbywa takie spacery z góry na dół, znowu do góry i znowu na dół.

— Jakie to zabawne, moja Wańdziu. I ona nigdy nie zginie?

— Nigdy, bo na świecie nie ginie najmniejszy py-

łek, najmniejsza kropelka. Ale patrz, niebo się wyjaśnia. Po obiedzie będzie można wyjść na spacer.

— Na spacer, pójdziemy na spacer! — zawołał wesoło Janek, rzucając się na szyję Wańdzi, ach, jak się cieszę!

Zofia Kwiatkowska.

## Nieuczynna Emilka.

— Pokaż mi tę książeczkę, kochana Emilko! —  
— Potrzebna mi.

— To dobrze, ja ją przejrzę tylko  
I oddam.

— Ona zaraz potrzebna mi przecie. —  
Ot! i z niczem Emilka odprawiła Tecię.

— Pożycz-no mi ołówka! — prosi Ludka mała.

— A swego nie przyniosłaś?

— Nie, bom zapomniała,  
Jak ty czego zapomnisz, to ci dam z ochotą.

— Zbyteczna obietnica, nie chodzi mi o to.

— Więc pożyczysz?

— Dwóch nie mam, zwykle jeden noszę.

— Mnie też dwóch nie potrzeba, o jeden cię proszę.

Ty teraz nie rysujesz, więc daj mi na chwilkę.

Ta mowa rozgniewała, znudziła Emilkę.

— Złamiesz jeszcze, tak, złamiesz i będzie za krótki,

Nie, nie dam! i czempredzej pozbyła się Ludki.

— Chorowałam dni kilka — Alinka powiada,

Mam tyle pisaniny... ale trudna rada!

Muszę wszystko odrobić, lecz Emilko miła,

Możebyś mi kajetu swego pożyczyła?...

— Nie dam, bo mi poplamisz, lub rozedrzesz może...

— Nie splamię, nie rozedrę, jakaś ty!... mój Boże!...

Nie nikomu dać nie chcesz, to brzydko!... nieładnie!...

— Dałabym... lecz gdy jaka przeszkoda wypadnie,

To trudno!...

— Nieuczynny zawsze ma powody,  
By nie dać!... nie pożyczyć... to boi się szkody,  
To nie ma... to dać komuś, to znaleźć nie może,  
Tysiące różnych przyczyn znajdzie w każdej porze.  
Lecz dziwnie krótką pamięć ma zawsze w tym względzie,  
Co robi, gdy od innych czegoś żądać będzie?

H. B.

## SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

### VI.

Czasami dziwił się chłopiec, dla czego nikomu z okolicznych mieszkańców nie przyszło na myśl szukanie czapli tam, gdzie on je znalazł? Jakby w odpowiedzi na to posłyszał raz we wsi rozmowę, która zaniepokoiła go bardzo.

Mówiono, że czaple gnieździły się dawniej wśród drzew rosnących na skale, ale odkąd część tejże skały oberwała się i wpadła w morze, ludzie nie mieli odwagi zapuszczać się na wierchołki pozostałych odłamów, dowodząc, że pod ciężarem choćby jednego człowieka, reszta sterczących złomów zapaść się może.

Słowa te przeraziły biednego chłopca, który pośród tychże skał zamieszkiwał i na wierchołki w poszukiwaniu piór czaplich wchodził codziennie.

W ciągu nocy powiększył się jeszcze niepokój Marcinka; morze było wzburzone, bałwany i wycie wiatru takim szumem napęniały grootę, że chłopiec wyglądał chwili, rychło razem ze skałą zapadnie się w głąb morza. Ufny jednak w opiekę Boską, pocieszał się myślą, że skoro ptaki, którym Bóg daje instynkt ostrzegawczy, od czego chronić się mają, gnieźdzą się nad jego pustelnią, to przeczuwać muszą, iż schronienie jest dla nich bezpieczne.

Jakoż ta noc i wiele innych przeszła szczęśliwie; Marcinek na odludnem wybrzeżu spędził całe lato; nauczył się poprzestawać na małym, oszczędzać odzieży i jedzenia.

Podczas jarmarku spotkał owych handlarzy, skupujących pióra i na początek nie drożył się zbyt wiele ze swoim towarem, zapłacili mu po talarze za sztukę, a ponieważ miał pięćdziesiąt piór zebranych, otrzymał pięćdziesiąt talarów w złocie, co stanowiło niemalą już sumkę, zebraną w krótkim przeciągu czasu przez małego chłopca.

Marcinek zapragnął otrzymane pieniądze oddać zaraz rodzicom, a po drodze chciał wstąpić do wuja Pstrąga i przeprosić go za niewłaściwy sposób, jakim wy dostał się z jego domu.

Wypadało przyzwoicie przedstawić się rodzinie. Kupił w mieście nowe ubranie, parę butów, świeżą bieliznę i z tłomoczkiem w ręku a pieniędzmi w kieszeni, puścił się drogą do domu. Dochodząc do wsi, gdzie mieszkał wuj Pstrąga, spotkał go wracającego z wyprawy rybackiej. Pstrąga zrazu nie poznał siostrzeńca, chłopiec bowiem w ciągu kilku miesięcy urósł, zmężniał, nabrał siły i zręczności, krótsza noga wyciągnęła się przy ciągłym ruchu, nieznacznie już tylko na nią utykał. Na ogorzałą twarz wystąpiły zdrowe rumieńce, a błyszczące oczy dowodziły odwagi i dzielności.

— Skąd się tu wziąłeś? — zapytał wuj, powitawszy chłopca serdecznie — skoro od strony morza idziesz, wnosząc, że nie przychodzisz od rodziców.

— Nie wiem nawet, co się u nich dzieje i ciebie wuju chciałem właśnie zapytać, czy w domu wszyscy zdrowi?

— Nic o nich nie słyszałem, odkąd uciekłeś ode mnie, a będzie temu pewno ze sześć miesięcy.

— Tak jest, wuju; rachowałem zmiany księżycy.

— Nabawiłeś mnie tą ucieczką wielkiego niepokoju — skarżył się Pstrąga — szukałem cię urwisie po całej okolicy; nie uspokoiłem się, aż w jakiś czas później spotkałem krawca, który mię upewniał, że cię widział w dobrem zdrowiu w pobliżu Pucka; mówił, że nie chciał cię przemocą z sobą zabierać, sądził, że cię w tamte strony rodzice wysłali dla załatwienia jakiegoś interesu. W domu

myślałem zapewne, że się dostałeś na jakiś okręt, i że jesteś teraz na morzu. Śmiało jednak możesz wracać do rodziców i nie obawiać się krawca. Nie wiem, co mu za figla wypłatałeś, ale zarzekał się, że wolałby samego szatana przyjąć do terminu, niżeli tak niesforne go jak ty, chłopaka.

— Nie zrobiłem mu nic złego — tłumaczył się Marcinek — tylko ziściła się twoja przepowiednia, wujaszku, i zaczynają mi wyrastać skrzydła odwagi, które dopomogły do pozbycia się raz na zawsze opieki tego brzydkiego człowieka. To rzekłszy Marcinek opowiedział wszystko co zaszło między nimi i dalsze swoje na wybrzeżu przystępy, a w końcu pokazał zebrane talary.

— Jesteś dzielny chłopcem, skoro tak sobie radzić umiałeś — zawołał Pstrąga, zachwycony śmiałem postępowaniem siostrzeńca — teraz wszędzie przyjmą cię z ochotą, bo umiesz pracować. Jeżeli kiedy popłyniesz w dalekie kraje, zobaczysz tam piękniejsze i rzadsze ptaki, niżeli twoje czaple na wybrzeżu, od maleńkich, o ślicznym połysku rajszych ptaków, do olbrzymich orłów kondorami zwanych, a tak silnych, że jak utrzymują, całego wołu pochwyć i w powietrze unieść mogą.

— Ach! wiem, wujaszku — mówił z żalem chłopiec — że dużo ciekawych rzeczy jest do widzenia na świecie, ale trzeba umieć na wszystko patrzeć i wszystko rozumieć, a ja o niczem jeszcze dokładnego nie mam pojęcia.

— Podróżując wszystkiego nauczyć się można — zawyrokował marynarz. I radził Marcinkowi udać się do Gdańska i tam przyjąć służbę w załodze jakiego kupieckiego okrętu, płynącego do Anglii. Dla większej zachęty wspominał mu, że o tej porze właśnie ciągną nad brzegiem nury, których nachwytać będzie mógł do woli. Gdy się jednak chłopiec dowiedział, że dla pozyskania ich błyszczącego pierza, wypadało ptaki zabijać i ze skóry obdzierać, o takiej zdobyczy ani słuchać nie chciał.

Idąc wybrzeżem, Marcinek z zazdrością spoglądał na statki, gdy naraz o zmierzchu wieczornym posłyszał znane sobie dobrze głosy.

Uradowany zaczął biedz z wyciągniętymi rękami za gromadą ptaków, które leciały ku statkom w przestrzeni, a potem nagłym zwrotem skierowały się ku lądowi.

Chłopiec biegł za nimi póki tchu starczyło, aż wreszcie zdyszany powrócił do wuja.

— Cóż to, nie widziałeś jeszcze kuligów, że tak uganiasz się za nimi? — zapytał marynarz zdziwiony.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

Ułożył Smok dla Słonia z Nubii.

Choć zaszczytny przydomek domowej mi służby  
Jednak mię przesładuje tak mały jak duży,  
I mimo, że się bacznie po kątach przemyskam,  
Tysiące niebezpieczeństw wszędzie napotykam.  
Za marny kasek sera, słoninki lub chleba,  
Nieraz w srogich męczarniach umierać mi trzeba.  
A także moja siostra, co tam w polu żyje,  
I w ciasnej jamce, w ziemi, skromniutko się kryje,  
Nieprzyjaciół ma wielu między zwierzętami  
Nawet trudno uwierzyć, i między ptakami.

## SZARADA.

Ułożyła płacząca Brzoza.

Gdy sama *pierwsza* jako wykrzyknik jest znana,  
I zwykle w głośnym śmiechu bywa powtarzana,  
To znowu *druga z trzecią* żeglarzowi służy;  
Wszystko zaś imię żeńskie. Nie tłumaczę dłużej!

## ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Zastąpić kropki literami  
aby rząd pierwszy oraz  
pierwsze litery, utworzyły na-  
zwisko współczesnego powieścio-  
pisarza. 2) Miasto pamiętne zjazdem  
Kazimierza W. z Krzyżakami. 3) Guber-  
nia n. Bałtykiem. 4) Stan w Ameryce półn.  
5) Zwierzęta z rzędu workowatych. 6) Rzeka  
w Syberii. 7) Kraj w Afryce. 8) Dopływ Dunaju.  
9) Imię męskie. 10) Zaimek. 11) Spółgłoska.

## ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

przez Niezabudkę

a a a a e e e b g  
j j k m n n o o o  
p r s t t t u w d.

Z rozrzuconych 27 liter ułożyć znane przysłowie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 23.

Szarady: Po — zdro — wie — nie.

## Łamigłówni zgłoskowej:

1) Kanada. 2) Aron. 3) Lodi. 4) Izmael. 5) Newada. 6) Ach.  
Kalina — Halina.

## Łamigłówni kryształowej:

B  
t u r  
c e d r y  
b a ż a n t y  
B u d a P e s z t  
W e n e c y a  
L a s s a  
c z y  
t

## Łamigłówni literowej:

Bez pracy, nie będzie kołaczy.



## Skrzynka do listów.

**Porucznikowi Saulowi.** Nie dziwimy się wcale, że cię tak zajmują: „Przygody Ludwika Rougemonta,” drukujące się obecnie w dodatku. Poznajemy z nich nie tylko zwyczaje naszych bliźnich, stojących na pierwotnym stopniu rozwoju, ale razem mamy opis przejść człowieka cywilizowanego, rzuconego samotnie wśród ogromnych, niezbadanych wówczas przestrzeni.

W Anglii przygody Rougemonta cieszą się równym powodzeniem, jak niegdyś przygody Robinsona Kruzo.

**Książę Jerzy** nie może nawet marzyć, aby w warunkach zwyczajnych t. j. bez odpowiedniego laboratorium i przyrządów, można było zajmować się skraplaniem gazów jak powietrze, tlen i t. p. Trzeba koniecznie używać do tego wielkiego ciśnienia i niezmiernie niskiej temperatury, co jest możliwym tylko dla uczonych posiadających odpowiednie urządzenia.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: **Porucznik Saul, Stefan Gl., A. Stra., Rożowa chmurka, Konik wyścigowy, Fotograf, Zosia i Maryjka, Lipa i Czerwony kapturek.**

**Czytelniczce 13-o let.** Szczerokość twoja i serdeczne odezwanie się do mnie miłe mi były nad wyraz. Z prawdziwą przyjemnością na list twój odpisuję. Moim zdaniem o wiele dziwniejszem by było, abyś w tak młodym wieku znała już świat i ludzi, życie aż nadto wcześniej zapozna cię ze światem, a bliższe zetknięcie nauczy, jak oceniać i wychodzić z ludźmi potrzeba. Kometa i planeta są wyrazami cudzoziemskimi, rodzaju męskiego, dlatego mówi się „ten kometa,” a nie „ta kometa.” Oczekując dalszych wiadomości, zapewniam cię, że mnie obchodzą i zajmują wszystkie szczegóły odnoszące się do moich korespondentów i korespondentek.

Myślę posłuchać twej rady **Śnieżycy** i pożegnawszy na czas krótki miłych mi przyjaciół, wyfrunąć na zielone łąny, zacząć pisać duży zapas świeżego powietrza i nasłuchać się dowoli wesołego świergotu ptaszek. Rubla na kolonie złożyłam w Redakcyi. Za najlepszy podręcznik do Astronomii popularnej uważam: „Niebo” Flammariona, w tłumaczeniu M. Stefanowskiej.

**Polnej Makówce.** Witamy cię po raz pierwszy w gronie moich korespondentek, pod ładnym pseudonimem skromnego kwiatka. Liścik twój tak ładnie i czysto napisany, że z prawdziwą przyjemnością odczytałam go parokrotnie, a mam nadzieję, że na tym jednym nie poprzestaniesz i stała między nami zawiąże się korespondencja. Za wszystkie ciekawe szczegóły dziękuję i nadal polecam się twej pamięci.

Jaskółka.

## OGŁOSZENIE.

### GAZETA POLSKA.

Dziennik społeczny, literacki i polityczny. Co tydzień, jako dodatek bezpłatny, *książka*.

Warecka N. 14. — Kwartalnie rub. 2, z przesyłką rub. 3.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.